Miłość zmienia wszystko — mike17

Od autora: Miłość nie zawsze jest dobra, czasem jest zawodna i podła. W tej opowieści poznacie jej różne oblicza. I te czułe, i te, o których lepiej zapomnieć. Wszak miłość boli. ale potrafi utulić i dać ukojenie :) Zapraszam do lektury i refleksji :)

Dokąd idę, dokąd zmierzam? Nie wiem. Nie wiem tak samo dziś, jak nie wiedziałem wczoraj.
I choćbym myślał do jutra, które będzie za tysiąc lat, nie wymyślę nic.
Jestem człowiekiem, który przeszedł daleką drogę. Bardzo długą i krętą jak górska serpentyna, i równie niebezpieczną. I tak jak ona, zazwyczaj prowadzącą w dół.

Podszedł do okna i wyjrzał. Zaczynało padać. Jak na październik i tak było ciepło i znośnie.
Długo patrzył na pojedyncze kropelki deszczu na jasnym, aluminiowym parapecie. Na setki małych kropelek, które przypominały setki jego dni, jego nocy, które przychodziły jak jesienne padanie i znikały gdzieś, w innym, niewidzialnym wymiarze, do którego odchodzą wszystkie te minione dni i noce, których już nie ma - wyczerpany, prześniony czas.
I przez chwilę liczył mokre punkciki na szarym parapecie, jakby szukając tam jakiejś magicznej cyfry–odpowiedzi. Było ich coraz więcej i więcej. Otworzył barek i sięgnął po butelkę. Koniak złocistą barwą wypełnił kieliszek.

Rita stała tam i patrzyła. Rozumiała go. Wiedziała, że jest kobietą jego życia, za którą poszedłby w ogień. Nie powiedziała ani słowa. Nie dziś, nie teraz. Pewne sytuacje wymagają milczenia, wtopienia się w akcję, bez narzucania czegokolwiek.
Bo jedno słowo nieopatrznie rzucone może niebawem wrócić ciężkim kamieniem.
Wystarczyło kilka minut na wieczność, by przed laty zrozumieli, że są sobie pisani.
Że szczęście dzieje się „czasami" i oni te swoje mieli właśnie wtedy.

Kiedy tam, za oknem padał rzadki, jesienny deszcz, była z nim, z kieliszkiem koniaku i ze smutnymi, zgaszonymi oczami, osadzonymi w jakby skurczonej, odkształconej twarzy.
Bo kiedy kobieta naprawdę kocha mężczyznę i wie, że ten pije, zaczyna powoli kochać również jego picie, te kolejne butelki koniaku i wszystko, co się z nim wiąże, bo jest jej powietrzem, choć czasem nieco kwaśnym i nieprzyjemnym, jest częścią jej samej, bo zaczyna pewnego dnia rozumieć, że nikt na tym świecie nie pije dla przyjemności.

Mała, szara wieś, gdzieś w środku lasów i jezior.
Dużo błękitnej ciszy, przychylnego, zaprzyjaźnionego wiatru i setki wielkich, rozłożystych drzew, które lubiły podsłuchiwać ludzkie rozmowy. Nie trzeba być geniuszem, by wiedzieć, że słyszały już tak wiele różnych historii, że powinny uciekać na widok człowieka z odrazą i wstrętem, bo posiadły wiedzę, której niejeden człowiek nie chciałby mieć.
Pewnie były i przy tym. Miały przecież grubo ponad sto lat.
I nie o to chodzi, że takie stare, ale o to, że z góry lepiej wszystko widać, zwłaszcza rzeczy, które chciałoby się ukryć i zakopać głęboko w ziemi, gdzieś w leśnej otchłani, gdzie raz na rok zabłądzi jakiś przyjezdny, poszukujący zagubionej ścieżki, a może tylko spacerujący.

Nad małym mostem, łączącym dwa jeziora, stał biały dom z czerwoną dachówką, która nie jest już taka jak dawniej, ponieważ coraz więcej jej leży na ziemi, dookoła domu, i budynek pewnie nie jest już tym, czym był, kiedy okalające go, gęste sosny i świerki szeptały w dzień i w nocy, że nie ma lepszego i pięk-

niejszego miejsca na świecie.

- Chciałam ci powiedzieć, że jestem szczęśliwa – powiedziała ciepło matka.
- Wiem, i cieszę się. Innym nie powiodło się aż tak jak nam – rzekł ojciec.
- Nigdy bym się z nimi nie zamieniła, na nic. I więcej mi nie potrzeba – dodała.
- Mnie też nie – przytaknął.
- I chcę, żeby tak już pozostało. Wszystko to takie czarowne, niepojęte.
- Tak. Żeby nic tego nie zakłóciło. Mamy tak dużo, że czasem sam w to nie wierzę.
- Ja też nie. Myślę niekiedy, że to sen, i że obudzę się któregoś dnia i to wszystko zniknie, i ty, i ten dom, i w ogóle, wiesz…
- Nie zniknie, nie bój się, to jest nasze życie, to się naprawdę dzieje, tu, na naszych oczach.

Podeszła do niego i oparła głowę o jego ramię. Było twarde i umięśnione, jak gruby konar drzewa. Nie mówiła nic przez dłuższą chwilę, on również, stali pod domem i patrzyli na jezioro. Daleko, pod trzciną, ktoś płynął łódką, płynnymi ruchami odpychając się od wody.

- A gdzie mały? – zapytał ojciec.
- Bawi się na pomoście – odpowiedziała matka. – Pewnie łowi ryby, albo szuka raków.
- Miał mi pomóc przy płocie – rzekł mężczyzna, zapalając papierosa.
- Zaraz go zawołam, jak chcesz – odparła kobieta, wstając z krzesła.
- Nie, teraz nie, może za pół godziny. Chcę jeszcze z tobą porozmawiać.
- Coś się stało? – spytała.
- Nie, nic, tylko muszę wieczorem być w mieście. Mam tam odebrać deski na te nowe schody, co to je będę robić nad jeziorem. Nie będziemy musieli już schodzić tą stromą skarpą i przewracać się po deszczu na śliskiej ziemi – odpowiedział.

Pod wesołym uśmiechem chłopca kryła się chęć poznania czegoś, czego jeszcze nie widział, a o czym marzył od jakiegoś czasu. Tym czymś było miasto. Bywał tam nie raz za dnia, ale nigdy wieczorem. Miał już dwanaście lat i jakoś nie nadarzyła się ku temu okazja.
Teraz, kiedy ojciec od jakiegoś czasu jeździł do tego miasta, zawsze jeździł sam, i zawsze było to po zmroku.
I nigdy nie zgodził się, by go wziąć ze sobą.
Mały wiedział, że tej nocy będzie chciał zobaczyć te wszystkie kolorowe światła i palące się bez przerwy neony sklepowe, o których słyszał od innych chłopców, którzy byli wieczorem w mieście. I kiedy postanowił, że po cichu wejdzie do samochodu i położy się na tyle, najpierw chciał ukryć się w bagażniku, nie wiedząc jeszcze, że go nie otworzy od wewnątrz.
Nie przeszkodziło mu to, by tam zajrzeć. W środku leżały świeże deski na schody, po które po zmroku wybierał się jego ojciec. Trochę go to zdziwiło, po co jechać po coś, co leżało w bagażniku? I tym bardziej zapragnął pojechać do tego miasta, by zobaczyć te wszystkie, niesamowite światła, i to, czy ojciec będzie odbierał jeszcze więcej desek, ponad to, co już miał. Chciał leżeć po cichu na tylnej kanapie i spełnić marzenie.

Nie chciał mówić matce o swym odkryciu, bo wtedy może w ogóle nie pojechaliby do miasta.

Wyruszyli tam wieczorem.
I gdy ojciec zatrzymał samochód pod dużym domem z wielkim ogródkiem i sadem, mały zdążył już zobaczyć światła palących się latarń i kilka neonów, podnosząc ostrożnie głowę, kiedy tak jechali ulicami

jasnymi jak za dnia. Kiedy ojca przywitała w drzwiach młoda, piękna kobieta długim pocałunkiem w usta, rzucając mu się na szyję, tak jak to robi zazwyczaj matka, mały natychmiast zapomniał o wszystkich światłach tego miasta. Przez chwilę nie pamiętał nawet, że chciał je tak bardzo zobaczyć od wielu dni. Nie pamiętał już też ich blasku i koloru. Patrzył oniemiały na drzwi, które szybko zamknęły się za jego ojcem i tą młodą, piękną kobietą. Potem tylko dostrzegł jak w jednym z okien, w jakimś jasno oświetlonym pokoju mignęły mu jeszcze te dwie postacie, a potem musiał patrzeć na to jak długo całowali się, jakoś tak inaczej niż całują się rodzice, i ona wtedy nagle zasłoniła zasłony, ciemne, grube zasłony koloru brudno-rudego i jej cień zniknął w głębi domu. Ostrożnie podszedł do furtki i otworzył ją. Do drzwi wejściowych prowadził wąski, betonowy chodnik. Na palcach zbliżył się do nich i powoli zaczął przekręcać klamkę. Niestety były zamknięte.

Stojąc przez chwilę zastanawiał się nad tym, co ojciec tam robi, i mając swoje dwanaście lat i bystrą inteligencję chyba się domyślał. Chłopcy w jego wieku sporo już wiedzą. Koledzy zdążyli mu powiedzieć, skąd się biorą dzieci i czym kończy się spotkanie, na którym mężczyzna całuje się z kobietą.

- Kiedy znów przyjedziesz?
- Za dwa dni – rzekł ojciec. – Powiem jej, że potrzebuję więcej tych desek. Uwierzy.
- Naiwna i głupia – powiedziała kobieta. – Marnujesz się przy niej. Potrzebny ci ktoś taki jak ja. Dopiero wtedy naprawdę poczujesz się mężczyzną. Teraz tracisz tylko cenny czas.
- Masz rację – naiwna i głupia. Zawsze taka była. Nawet w łóżku jest do niczego – zakończył ojciec i pocałował ją, długo i namiętnie, jakby za chwilę miał się skończyć świat.
Potem mały usłyszał jego kroki na betonowym chodniku i dźwięk klucza w drzwiach samochodu. Kiedy już uruchomił silnik i miał odjeżdżać, kobieta stojąc najwyraźniej dalej przed swym domem krzyknęła do niego na odjezdne:
- Będę tęsknić!
- Ja też, kochanie! – rzucił ojciec pod nosem i zaczęli jechać do domu, wśród jasnych, kolorowych świateł miasta, tych które dla małego straciły blask na zawsze tej nocy. Leżał nieruchomo i myślał. Czuł, że ojciec jakoś inaczej pachnie, jakoś tak ostrzej i nie tak, jak kiedy nigdzie nie wyjeżdża. To był jakiś nowy zapach. Trochę dziwny…
Pogwizdywał sobie coś pod nosem, potem śpiewał jakąś piosenkę, jakby spotkało go jakieś wielkie, nieoczekiwane szczęście i teraz rozpiera go ono i każe z radości śpiewać.

Gdy wrócili do domu nad jeziorem, matka już spała.
Myślała, że chłopiec też dawno zasnął. Nie domyśliła się nawet, że nie było go przez ten cały czas w pokoju, że po cichu ukrył się w samochodzie i zamiast spełnić swe marzenie, utracił coś na zawsze – coś odeszło, coś, na co się tak bardzo czekało.
„...znalazłem różę, a różą, którą znalazłem jesteś ty!” – śpiewał sobie dalej pod nosem ojciec, kiedy zamykał samochód i szedł do uśpionego, pogrążonego w letnich ciemnościach domu, mając pewność, że żona dawno już zasnęła, syn także, i że bez kłopotu będzie mógł się teraz wykąpać i położyć spać, a rano powiedzieć, jakie to piękne deski przywiózł w bagażniku.
I tak też pewnie zrobił. I kiedy to już powiedział, a było już dobrze po dziesiątej rano, matka spytała, czemu mały jeszcze nie wstaje, przecież jest lato, szkoda dnia. Ojciec przytaknął, że to rzeczywiście do niego niepodobne, i że pójdzie zobaczyć, dlaczego nie schodzi na śniadanie. Pogwizdując wesoło swoją nocną piosenkę, poszedł do jego pokoju i otworzył drzwi. Stanął jak wryty. Przez chwilę pomyślał, że coś mu się przywidziało.

Zrazu tak właśnie pomyślał. Ale niedługo. Spojrzał przypadkiem na szafkę nocną przy łóżku małego i zo-

baczył na niej kilka opakowań po lekarstwach – wszystkie były rzucone bezładnie i wszystkie były puste. Chłopiec leżał w łóżku jakby spał, mocno i twardo, głębokim, kamiennym snem. Nie dało się go obudzić.

Kiedy po tygodniu mały wrócił do domu nad jeziorem przywieziony przez matkę, ojciec nawet na niego nie spojrzał. Nie spojrzał także i później, kiedy przestał się do niego odzywać, myśląc pewnie, jak to bardzo go ten chłopak zawiódł, niewdzięczny mały głupiec. Jego głosu nie usłyszał już nikt. Chodził i żył jakby się nic nie stało, w międzyczasie zdążył skończyć płot i zrobić zejście nad wodę i opróżnić swój pełen desek bagażnik.

I gdy czuć było w powietrzu nadchodzącą jesień, pewnego dnia matka wzięła łódkę i wypłynęła na jezioro. Była bardzo spokojna i cicha, kiedy brała wiosła i szła z nimi na pomost. Nie obejrzała się ani razu, a w jej szklistym spojrzeniu nie było już życia.
I zabrakło go w niej również potem, kiedy nie wracała do domu przez kilka dni, i gdy jej martwe ciało wypłynęło gdzieś pod trzciną. Jeszcze później znaleziono łódkę, którą zniosło parę kilometrów dalej, pod daleki, wysoki brzeg, co był zarazem końcem przeklętego jeziora. Każdy wiedział, że nie umiała pływać, każdy wiedział, jak bardzo bała się wody…

I nagle zaczął słyszeć głos matki, jakby dochodzący z jeziorowych głębin, szepczący ledwie wyczuwalnie:„Zabij go, zabij go.”

Mówiła do niego stamtąd, z tej mrocznej wodnej nieskończoności, która bez początku ni końca połknęła ją przed laty i wydarła z niej życie. Teraz wróciły słowa, wyraźne, choć ciche, pewne i zdecydowane. I szły jak sygnały wprost do jego uszu, wprost do jego umysłu. Tylko, kiedy siadał na tym pomoście, z którego niegdyś wypłynęła po śmierć…
Zatykał czasami uszy, by ich nie słyszeć, ale na nic się to zdało – były już w jego głowie, odbijając się od czaszki głuchym echem–pogłosem. Wracały, coraz głośniejsze, coraz silniej i mocniej wypowiadane, przechodząc nagle w krzyk, który rozrywał mózg na strzępy:*„Zabij go, zabij go”*. Biegł wtedy przed siebie, na oślep i z wściekłością uderzał pięścią w drzewo, kalecząc się i krzycząc wśród leśnej głuszy.

I kiedy jakiś czas później ojciec sprowadził tamtą do domu i się z nią ożenił, przenosząc hałaśliwie przez próg, wśród salw jej pustego, piskliwego śmiechu, wybiła właściwa godzina. Choć jeszcze tego nie wiedzieli, nowożeńcy, którzy za patrona mieli przeklętego diabła.
Syn miał jak najszybciej opuścić dom, bo jego czas tu skończył się raz na zawsze.
Jako dorosły był w wieku, kiedy prawdziwy mężczyzna ma wyruszyć w świat w poszukiwaniu szczęścia – powiedział po latach milczenia ojciec. Na tym statku brakowało miejsca dla dwóch kapitanów. Pod tym dachem było za ciasno dla niego i tego chłopaka, który już dawno temu przestał być dla niego kimś bliskim. Nadszedł koniec. Ten czas był czasem niepewnego spojrzenia w przyszłość i pogrzebania tego, co było.

I ten chłopak to zrobił.
Kilka dni później.

I dobrze, że ten dom stał na uboczu, i że dzień był już krótki i ciemny jak to zwykle bywa pod koniec października. Padał wtedy zimny deszcz, na który i psa ciężko byłoby wygonić, co niechybnie sprawiało, że dojrzewa wtedy to, czego próżno byłoby szukać w letnich promieniach wesołego słońca…
Zamknął swoje drzwi i pożegnał się, jak czyni się to tylko raz w życiu lub nigdy.
Potem, kiedy z dubeltówki ojca zabijał śpiących nowożeńców, czuł spokój i ulgę, i nie miał złudzeń, że

teraz będzie mógł stąd odejść i ruszyć ku nowym, nieznanym jeszcze szlakom, gdzie może odnajdzie utracony czas i swoje zmiażdżone, skradzione życie.
Martwe ciała ubrał i zawlókł do samochodu. Ucieszył się, że dziury po postrzale były w klatce piersiowej, i u niego, i u niej, a nie w czaszkach, to ułatwiło wiele, to sprawiło, że odetchnął i poczuł się dobrze. Po chwili usiadł przy biurku i napisał, charakterem pisma ojca, który był prosty i nieskomplikowany, kilka słów na kartce: *„WYJEŻDŻAMY SIĘ ZABAWIĆ! NIE WIEMY, KIEDY WRÓCIMY."* – i po spakowaniu wszystkich swoich rzeczy i zamknięciu domu, wsadził ją w drzwi.

Potem wyjechał w deszcz tak, jak już później nigdy nie musiał.
Wiozący na tylnych siedzeniach oba trupy, skierował się ku miejscu, gdzie była wysoka skarpa, a w dole jezioro, otoczone przy brzegu drzewami o szerokich, twardych pniach, i zatrzymał na chwilę samochód, posadził ojca za kierownicą, jego nową żonę obok, otworzył bagażnik, ten sam bagażnik, który tak dobrze pamiętał i wyjął z niego bańkę z benzyną.
Polał nią małżonków, zapalił i zepchnął pojazd w dół, tak, aby przodem uderzył w drzewa. Płonący nowożeńcy, wyglądający w tamtej chwili jak żałosne, groteskowe clowny, wyruszyli w swą podróż poślubną, będąc już od dawna na tamtym, dopiero co odkrytym świecie, i kiedy uderzyli w jeden z grubych pni, nastąpiła głośna eksplozja i samochód zapalił się krwawymi, szalonymi płomieniami.

Po wielu latach, które strawił na czym się dało i co akurat było w zasięgu ręki, na przenoszeniu się z miejsca na miejsce, z kraju do kraju, został pisarzem. Odkrył w sobie talent, a może to jego odkryto jako nowe objawienie, nowe spojrzenie na stare, znane sprawy – pewnie i on próbował, i oni, którzy się na nim poznali, i spotkali się gdzieś w pół drogi i wtedy okrzyknięto go kimś, kto pisze jak od dawna nikt nie umiał.
Jak Alex, bo tak się nazwał. I jako Alexa znali go wszyscy.
Po jakimś czasie znany był już w Ameryce, Kanadzie i Japonii, jego książki tłumaczono na kilkadziesiąt języków świata. Był autorem popularnym i rozpoznawalnym w każdym obcym kraju, gdzie czytano i uważnie śledzono, co dzieje się nowego w dziedzinie prozy.

W Europie był postacią kultową, nowym buntownikiem, który śmiało obnażał prawdę o człowieczym losie, kreował bohaterów pokłóconych ze światem, którzy idąc bezkompromisową drogą kontestacji podważali stare mity i utarte stereotypy, ukazując brud życia i brud ludzkich namiętności, a jednocześnie oczyszczającą siłę cierpienia i upadania jako elementu wzmacniającego pierwotne człowieczeństwo, moc charakteru i hart ducha.
Lubił tworzyć bohaterów silnych i mężnych, napotykających na swej drodze śmierć, miłość, nienawiść i przemoc, często błądzących, tylko po to, by móc się podnieść jeszcze silniejszymi i by nigdy nie ulec klęsce moralnej – upodleniu, które powstaje, kiedy nie podejmuje się walki o swoje niezbywalne prawa, o swoją godność, czy szczytne ideały.

Życie nauczyło go wiele, i jedną z najważniejszych rzeczy było noszenie maski.
Maski uśmiechniętego człowieka sukcesu, który jest twardy i żyje jak pisze i pisze jak żyje. Maski chroniącej jego powykręcany, poplątany wewnętrzny świat, jego nagą, użądloną duszę.
I nikt nigdy nie dowiedział się, że jest bardzo skryty i cierpi na chorobę dwubiegunową.
– To skutek śpiączki, tego trzydniowego bycia jedną nogą na tamtym świecie… – mawiał jego lekarz. – Wtedy wiele może się w głowie poprzestawiać.
I tak też było – wtedy, w tamtym prowincjonalnym szpitalu odbyły się jego powtórne narodziny, coś skończyło się na zawsze, coś innego zaczęło.
Nie było już dawnego Alexa.

Nikt nie wiedział, że od lat walczy sam ze sobą, z tym wszystkim, o czym pisze, tyle że z odwrotnym skutkiem – ta walka nigdy się nie skończy, a każdy nowy jej etap to nowa potrzeba samoobrony.

Pewnego dnia usłyszał ten szept.

Dochodził spod sufitu, dokładnie z rogu i wpadał do ucha pod kątem czterdziestu pięciu stopni, zawsze od strony prawej, zawsze ilekroć przypominał sobie ten wieczór w mieście kolorowych świateł. To szeptali oni. On i ona, na temat jego matki, jej naiwności i głupoty, na temat jej bezmyślnego, durnego samobójstwa. Szydzili i kpili. Mówili coraz szybciej i szybciej, aż do bełkotu, do aż potężnego, nieznośnego szumu. Zawsze wieczorem. Nigdy za dnia. Zawsze, kiedy czuł, że zalewa go ta znana od lat fala mrocznego smutku, braku wiary w siebie i w przyszłość, i kiedy poznawał smak samotności.

Wtedy pił na umór.
Całymi dniami, by poczuć znów ciszę w sobie.
Wychodził na bosaka, z przyklejonym do dolnej wargi niedopałkiem, jedynie w piżamie do pobliskiego sklepu monopolowego po kolejną butelkę koniaku i parę piw na popitkę.
Prosił Go o spokój duszy, ale On milczał.

Szepty wracały.
Były złe i szydercze, i tak jak zwykle zamieniały się w hałas. Nie znikały następnego dnia, gdy zapadała noc. Nie znikały przez wiele nocy. Stworzyły bezsenność. Wypluły potwora, który zjadł jego sny. Narodzony z szeptu dręczyciel-wróg snu utrwalił swoją obecność i wysysał życiodajne soki, nie bacząc na nic, jakby wyczuwając wrodzoną niemoc.
I pożerał je co noc, nienasycony i głodny.

Kiedy poznał Ritę, uświadomił sobie, że może ją kiedyś zostawić, bo czuł, że krąży w nim zatruta krew, i im bardziej będzie z tym walczyć, tym natrętniej będzie to wracać. Lecz on nie chciał w to wierzyć. W tę jedną rzecz. Nie chciał być taki jak ten stary kłamca i skurwysyn, wiedział, że to byłby dla niego koniec, spodlenie się do poziomu deski klozetowej.
Nigdy też nie znał takiej kobiety jak ta, wymarzonej, wyśnionej, ukochanej, akceptującej go takim, jakim był, i o nic niepytającej, jakby naprawdę uważała go za ideał.

I powiedział kiedyś Ricie, sącząc niespiesznie koniak, patrząc w piękne, piwne oczy, gładząc ją czule po twarzy, jakby chciał jej wyszeptać całą swoją miłość:

- Dziś coś ci dam.
- Co takiego? – spytała.
- Klucz do skrytki.
- To jakiś żart? Co ty knujesz?
- Jest tam, w dolnej szufladzie, w kopercie.
- Nic nie rozumiem. W kopercie?
- Tak. Może być ci potrzebny, ale nie musi.
- Nie bądź taki zagadkowy. O co chodzi z tym kluczem i tą skrytką?
- Wiesz, że cię kocham, prawda?
- Wiem.
- Wiesz, że mogę cię kiedyś zostawić?
- Choć to przykre, ale wiem…

- Chcę mieć coś na zawsze i nie stracić tego.
- Masz mnie.
- Chcę czegoś więcej – chcę pewności, że cię nie stracę.
- To zależy od ciebie. No, i ode mnie też.
- Wiesz, że czasami niewiele zależy ode mnie. Są chwile, kiedy nie jestem panem samego siebie. Zalewa mnie fala. I nie potrafię się spod niej wydostać. Muszę mieć tę pewność, Rita, muszę. Bez tego moja miłość nie ma sensu. Żadna miłość nie ma sensu bez tego typu pewności.
- Co sugerujesz?
- Mówię, że nie zostanę z tobą bez tej pewności, że cię nigdy nie stracę. Chociaż to chcę mieć do końca.
- Przecież wiesz, że tak będzie – ja to czuję, moją kobiecą intuicją, czuję, że mieliśmy być razem.
- Wierzę w twoje słowa, tak jak wierzę w twoje uczucie. Ale pomimo to mogę cię stracić.
- Jak?
- Mogę kiedyś, pewnego dnia poznać inną kobietę, odejść do niej. Mogę któregoś dnia popełnić ten błąd. Są chwile, kiedy zbyt szybko się decyduję.
- Do czego zmierzasz?
- W kopercie jest pistolet. Naładowany, wystarczy pociągnąć za spust.
- A więc co?
- To na wypadek, gdybym był tak podłym człowiekiem jak mój ojciec. Gdybym doznał zaćmienia umysłu i zapomniał o sobie. Jeśli on zwycięży we mnie, stracę szacunek do samego siebie. Nie chcę być samobójcą drugi raz. Może mi się znów nie udać. Wtedy nawet nie będę miał wystarczająco dużo siły, by ze sobą skończyć. Więc wtedy mnie zastrzel. Zrób to ty, jeśli mnie naprawdę kochasz.
- Przerażasz mnie.
- Nie, to ma sens. Głęboki. Dla mnie. Nie chcę być samobójcą – mówią, że wtedy będę musiał całą wieczność przeżywać ten sam ból, od którego chciałem uciec, tu na ziemi.
- Szalony!
- To tak jak uśpić ukochanego psa, bo tak się złożyło. Nie przestajesz go wtedy kochać. Dla mnie będzie to wówczas wybawienie od samego siebie, i kara…
- Nie chcę cię zastrzelić. Nie chcę nawet o tym rozmawiać.
- Jeśli jednak coś by się stało, nie pozwól, by on żył we mnie. Pociągając za spust, zabijesz go na zawsze, a mnie ocalisz.
- Nie jesteś szalony.
- Przechowasz tę kopertę?
- Przechowam.

Potem, gdy zapadła już noc, leżał i nie mógł zasnąć. Za oknem padał deszcz. Czuły, ciepły, inny. Jego monotonna muzyka nastrajała do rozmyślań. Niedługo miała nadejść kolejna zima, a kolorowa jesień odejść do tego niewidzialnego wymiaru, do którego odchodzą rzeczy niebyłe i przeżyte. Wiedział, że wie dużo, ale i bardzo mało. A może to dwie strony tego samego medalu? Patrzył na niekończące się ściany i sufity, na ciemność i czerń, odbywał znaną na pamięć podróż do krainy wymarłych snów i myślał, obserwując jej spokojny sen:*„Dokąd idę, dokąd zmierzam…Nie wiem. Nie wiem tak samo dziś, jak nie wiedziałem wczoraj. I choćbym myślał do jutra, które będzie za tysiąc lat, nie wymyślę nic.”*

Ale to było dawno.
Bardzo dawno temu – pewnej jesieni.
Kiedy jeszcze nie miał dziewięćdziesięciu ośmiu lat, i kiedy Rita jeszcze żyła.

16 grudnia 2020

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 28.12.2020 11:38

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.